

Adam Wiaryga-Minieski

## MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich

30

— Moja Agnesiu! — krzyknęła już prawie Józia, która na razie miała dosyć rozmowy z przywiązaną, ale zanadto gadatliwą Agnieszką — proszę iść obudzić państwo, bo chciałabym się przywitać.

Agnieszka stała przez chwilę z otwartymi ustami, jakby przerwany potok wymowy miał znowu popłynąć ze zdwojoną może siłą.

Nie powiedziała jednak nic, machnęła ręką, fartuchem obtarła nos i oczy i człapiąc pantoflami, wyszła z kuchni.

Energicznie zapukała do drzwi małżeńskiej sypialni państwa Maliniewiczów.

— Kto tam?... — odezwał się zaspany głos pana.

— To ja, Agnieszka... Proszę pana, panienka przyjechała!...

— Czego chcesz?

— A toć panienka nasza przyjechała!...

— Jaka panienka?... Panna Kazia?!

— Panna Józia!.. Pani Żarnicka!... — krzyknęła Agnieszka, poczem zamruczała sama do siebie:

— To ci hycel, nie ojciec! On już może zapomni, że ma córkę!

Za drzwami słychać było jakieś półgłosne szepty. Wreszcie radca zapytał:

— Z mężem przyjechała?

— Nie, sama... Przecie mąż przy wojsku.

— Niech Agnieszka powie panience, że zaraz do niej wyjdę.

— Nie masz się czego tak spieszyć — dał się słyszeć głos kobiety, brzmiący sucho i stanowczo — także pomysł przyjeżdżać ni stąd, ni zowąd o tak wczesnej godzinie i wyciągać ludzi z łóżka.

— Ale, bo widzisz... — zaczął radca Maliniewicz.

— Już tylko daj spokój — odrzuciła kobieta tonem, który wykluczał wszelką dyskusję — niby to nie znasz swojej córki! Niby to nie wiesz, że ona jest zawsze ekscentryczna i lubi urządzać niespodzianki.

— — — — —

— Całuję rączki tatusiowi.

— A to ty, Józka... Przyjechałaś...

— Przyjechałam, tatusiu.

— A tak... tak... Jak się masz — rzucił z roztargnieniem Maliniewicz i musnął lekko ustami czoło córki, która pochylała się mu do ręki. — No i po co przyjechałaś? Masz jaki interes do Krakowa?

Józia zrobiło się nagle bardzo zimno koło serca. Puściła rękę ojcowską, zacięła usta i cofnęła się o kilka kroków. Przez chwilę nie odpowiadała, bo ją coś ścisnęło w gardle.

— Przyjechałam odwiedzić tatusia... Kazię zobaczyć... — wyrzekła wreszcie.

Radca przesunął po twarzy córki obojętnym spojrzeniem.

— A tak... Że ci też nie było szkoda czasu, facygi i pieniędzy. Podróżowanie w obecnych czasach nie należy do przyjemności. Agnieszka, podawać śniadanie! — krzyknął i usiadł przy stole.

— Mój drogi, czego tak krzyczysz? Aż ściany się zatrzęsły? Do czego to podobne? — przemówiła chłodnym, mentorskim, strofującym tonem żona, wchodząc.

Maliniewicz zżymnął się niecierpliwie.

— Moja Adelko i cóż ci to szkodzi?!

— Szkodzi i bardzo nawet, bo mnie to razi i denerwuje. Nie jestem do wrzasków przyzwyczajona — ostatnie słowa wypowiedziała ze szczególnym naciskiem i zmierzyla męża zimnem, wyniosłym spojrzeniem.

Radca zżuł w zębach jakieś przekleństwo, ale nie odpowiedział już nic.

Józia patrzyła zdumiona, nie wierząc własnym oczom i uszom. Jakto, jej ojciec tak bezwzględnie despotyczny, nie znoszący oporu, brutalny często, pozwala się teraz strofować żonie, jakby był niegrzecznym chłopcem, nie wybucha gniewem, nie odpowiada nawet.

Co to jest? Jakąż to władzę ta kobieta zdobyła nad nim? Piękna jest, to prawda, ale...

— Aha! To twoja córka... Jak się masz, moja kochana...

Józia sztywnym krokiem podchodzi ku macosze i z widocznym przymusem dotyka ustami jej ręki.

Maliniewiczowa z badawczym zaciekawieniem ogląda pasierbicę od stóp do głowy.

— Bardzo źle wyglądasz — czyni uwagę — i ubrana jesteś fatalnie. Zmiłuj się! Kto teraz nosi takie rękawy? I wazką spódnice?!

Józia czerwieni się.

— Idę prosto z kolei.

— I do drogi szanująca się kobieta porządnie się ubiera — poucza Maliniewiczowa, rzucając wzrokiem w lśniąca szybę dużego zwierciadła, które odbija jej wysoką postać, opłyniętą faldami wykwinętego szlafroka, barwy „starego złota“. Szlafrok ten, obficie zdobny w koronki, hafty i wstążki, jest przesadnie strojny, jak na ranne ubranie domowe.

Józia stoi, wspierając ręce na poręczach krzesła i przenosi wzrok od macochy do ojca, który pilnie ogląda swoje starannie pielęgnowane paznokcie.

— Siadaj, dlaczego stoisz? — mówi Maliniewiczowa do Józii.

Młoda kobieta siada machinalnie, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi. W myśli jej snują się obrazy, wywołane po części z własnych, zamglonych wspomnień wczesnego dzieciństwa, a daleko więcej z tajemnych a plastycznych, dosadnych opowiadań Agnieszki.

Tu, na tem miejscu, gdzie teraz rozpiera się tak wyniosłe i dumnie macocha, siedziała niegdyś matka Józina, słodka, dobra, kochana mateczka. Tylko inna zupełnie. Biedna bardzo, cicha, pokorna, potulna, zahukana... Słakana często i nieszczęśliwa.

W córce zatkął żal i zakipiło oburzenie. Z głuchą, bolącą urazą, z nienawiścią prawie spojrzęła na ojca, smarującego najspokojniej w świecie chleb masłem.

Agnieszka wniosła na tacy śniadanie. Maliniewiczowa powąchała kawę, dołknęła ręką porcelanowej maszynki, badając, czy dość gorąca i zajrzała do białego garnuszka z mlekiem.

— Co to za śmietanka dzisiaj! Gdzie kożuszek?!

— Niema kożuszka! — odpowiada hardym, wyzywającym tonem stara sługa, rzucając pani domu spojrzenie więcej jak niechętne.

— Gdzie się podział?! Co to znaczy?! Ja muszę mieć mleko porządne, bo ja porządnie płacę. Agnieszka wypila śmietankę z wierzchu!

— Nie wypila!

— Jeszcze śmiesz zaprzeczać! Wytrącę z pensyi.

— Niech sobie pani wytrąca!

— Agnieszka, cicho! — huknął Maliniewicz i pięścią w stół uderzył.

— Nie krzycz! — upomniała go żona, ale sama mówiła bardzo podniesionym głosem, a oczy jej duże, szmaragdowo-zielone, połyskiwały gniewem.

Józia, zaczerwieniona z przykrości, uznała, że powinna wtrącić się.

— To moja, zdaje się, wina — rzekła, siłąc się na spokój — przysłałam zgłodniałą z drogi i prosiłam Agnieszkę o śniadanie. Zrobiła mi kawy i to pewnie dla mnie...

— Aha!... Rozumie się, że tak było! Ale czy nie uważasz, że stosowniej było zapanować nad apetytem i poczekać aż ja wstanę!

— Jakże! Głodna panienka miała czekać! A cóż to ona w obcym domu! — wybuchnęła Agnieszka.

— Milczeć!

— Co się pan tak udziera na mnie?! Ja nie pies, żeby na mnie krzyczeć i nie złąknę się!

— Istotnie, zbłądziłam i przepraszam — powiedziała napozór zupełnie spokojnie Józia. — Zapomniałam, że... Moja Agnesiu, moja złota, proszę bądź już cicho i idź sobie teraz — szepnęła cichutko, nachylając się do służącej.

Agnieszka usłuchała prośby swojej ulubionej panienki i wyszła z pokoju, przyczem niezbyt delikatanie i bynajmniej nie cicho zamknęła drzwi za sobą.

— Ta stara staje się niemożliwą — zauważył gniewnie Maliniewicz.

— Przyzwyczajona była rządzić, a nie słuchać — odparła żona — ale teraz skończyło się! Od pierwszego niechaj sobie idzie stara nie-dolęga! Znajdę służącą młodą i zgrabną.

— Oczywiście — przytakiwał radca i podniósł do ust kromkę obficie posmarowaną masłem. — Wiesz, Adelko, wyborna bułka. Udała ci się.

No, chyba. Ja nie pozwolę, żeby coś się zepsuło.

W jadalni zapanowała cisza, przerywana brzękiem łyżeczek i lekkim chrzęstem gryzionych kasek. Maliniewiczowie z apetytem spożywali śniadanie.

Pani jadła dużo, ale powoli bardzo i z jakąś przesadną dystynkcyą, jak gdyby chcąc dać lekcję wykwinętego jedzenia mężowi, który wszakże z tej pogładowej metody nie korzystał wcale, bo patrzył tylko w swoją szklankę, wciągał trochę głośno kawę w usta i młaskał niekiedy pełnemi, czerwonymi, zmysłowemi wargami.

Józia udawała tylko że je i w duchu czyniła spostrzeżenie, że jej ciemny, lepki chleb daleko lepiej smakował tam w kuchni, aniżeli teraz doskonale białe pieczywo.

Chłodna obojętność ojca zaprawiała jej każdy kęs goryczą, a obecność macochy mroziła po prostu.

Młoda kobieta rzucała z pod spuszczonego powiek ukradkowe spojrzenia to na ojca, to na jego żonę. Skonstataowała, że ojciec, chociaż ciągle zasługuje na miano przystojnego, „dobrze zakonserwowanego pana“, postarzał się jednak, utył i nabrał cech nieznanej mu dawniej ości-załości.

Macosze nie mogła odmówić piękności, klasycznie regularnych rysów. Piękność ta wszakże miała w sobie coś lodowatego i raczej odpychała niż pociągała, przynajmniej Józję. Te oczy zielone, świecące blaskiem zimnym i ostrym, ta krwawa smuga ust, bez zarzutu wykrojonych, ale zaciętych, twardych, niemiłych w wyrazie... Te włosy malowane na kolor rudawo-złoty, ta cera zanadto nieskazitelnie, jednostajnie biała, aby mogła być naturalną...

Z jakimś dość rzadkiem u niej uczuciem złośliwej, mściwej satysfakcji pochwytywała na twarzy macochy ślady zniszczenia, spowodowanego przez nieublagany czas — dwie brzydkie fałdki koło ust, siatki zmarszczek na skroniach i w kątach oczu, jakieś plamki żółtawe na twarzy niedostatecznie uszmiłkowanej o tak wczesnej godzinie, przerzedzenie włosów niefryzowanych jeszcze. Coś zwiedłego, zmiętego, sztucznego biło od tej wysokiej, tegiej, dobrze zbudowanej kobiety, o kształtach obwisłych już trochę, jak zwykle od każdej starzejącej się piękności, która nie chce i nie umie zrezygnować w porę z uroku swoich wdzięków.

Urodzie Maliniewiczowej brakło przytem zupełnie pierwiastku uduchowienia, który trwa i żyje, choć kształty tracą już swoją sprężystość, pleć gładkość i oczy blask.

Macocha nawzajem ciekawie i krytycznie obserwowała pasierbicę. W końcu Maliniewiczowa pierwsza przerwała milczenie.

— Na długo przyjechałaś?

— O, na bardzo krótko! — odpowiedziała z goryczą. — Najwyżej na dwa dni.

— Naturalnie, szkoda czasu i pieniędzy, jeśli nie masz specjalnego interesu — dodał szybko ojciec.

— I my w tym tygodniu wyjeżdżamy — uzupełniła żona.

— Tak? Dokąd?

— Do Zakopanego na kilka tygodni.

W Józii wzbiera znowu fala goryczy, żalu, zazdrości.

— Jak oni chcą się mnie pozbyć jak najprędzej — kołaczę jej w mózgu myśl — a sami pojedą sobie do Zakopanego. Będą się bawić, oddychać świeżem, czystem powietrzem, weseli, bez troski... I to jest ojciec... i to jest dom rodzicielski... Znowu się ludziłam, a teraz wiem, że nie mam domu... Że nie mam rodziców.

Uświadamia sobie z niezachwianą, nieubłaganą pewnością, że musi wrócić do Łykowa, musi poddać się tyranii mamy Żarnickiej, znosić w pokorze jej szykany, bo niema innego wyjścia, niema innego schronienia.

— Więc twój mąż jest przy wojsku? — zadaje znów pytanie Maliniewiczowa.

— Tak.

— Ale nie na froncie?

— Nie.

— A czemu właściwie jest z zawodu twój mąż, bo doprawdy nie pamiętam.

— Prawnikiem.

— Ma jakiś urząd, czy też idzie na drogę adwokacką?